Rok II. **W Jarosławiu dnia 8 (10) lipca 1894.** Nr. 13.

DWUTYGODNIK ORGANISTOWSKI

Pisemko poświęcone sprawom i rozrywce pp. Organistów

Wychodzi 8 i 22 każdego miesiąca.

Biuro
Redakcyi, Administracyi i Expedycyi
w drukarni Ludwika Styrny
ul. Franciszkańska, w kam. H. Czyńskiej.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.
Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.



Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje Administracya

Przedpłata
z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	złr. 2.40 ct.
Półrocznie	„ 1.30 „
Kwartalnie	„ —.70 „
Numer pojedynczy	„ —.15 „

Ogłoszenia drobnym drukiem po 6 ct. za wiersz.

„Laudate Dominum in tympano et choro: Laudate eum in chordis et organo" (Ps. 150)

Jeszcze słowo w sprawie Ogólnego wiecu Organistów galicyjskich.

Koledzy! Żelazną wolą i wytrwałością jest w stanie jeden człowiek przez czas pewien zdziałać bardzo wiele. N. p. nasz powieściopisarz Kraszewski zostawił po sobie ogrom pracy literackiej, który w zdumienie wprowadza myślących; wielki malarz polski Matejko swą wytrwałą pracą zdobył sobie nietylko uznanie ziomków ale sławę światową — bo dosyć spojrzeć na dzieła, które Ojczyźnie swej w spuściźnie pozostawił. Wielu mężów możnaby wymienić, którzy w życiu swem nieraz mrówczą pracą zyskali sobie niespożytą sławę i wdzięczność potomnych, lecz wszystkie te zasługi odnoszą się tylko do jednej osoby, która sama jedna mogła dopiąć do zamierzonego celu.

I Redakcya nasza dąży do celu, bo pragnie wraz z Wami Koledzy drogą legalną walczyć tak dla Was jak i Waszych następców o lepszy byt. Czyż to nie szlachetny cel? Całe tylko nieszczęście, że w podobnej sprawie działanie jednej, dwóch a wreszcie kilku osób na nic się nieprzyda. Jak chóru nie stworzy kilku śpiewaków, jedna jaskółka lata, gromadka pobożnych odpustu, tak też kilku chętnych ludzi nie zdoła udźwignąć na swych barkach ciężaru — jakim jest wywalczenie polepszenia doli organistów. Wyglądamy podobnie, jak zastęp ludzi 2000, którzy stanęli przed olbrzymim kamieniem aby go przenieść na inne właściwe miejsce. Wszyscy godzą się na to, że bardzoby to dobrze było, gdyby tak ciężar taki przenieść można bez trudu. Przychodzi więc jeden i dźwiga. W pomoc przychodzi mu kilku innych, razem, dźwigają lecz o podniesieniu ciężaru ani mowy nie ma, bo do tego trzeba siły — siły olbrzymiej. Ci co się z szczerą chęcią rzucili w celu podźwignięcia ciężaru, dźwigają go lecz nie mogą dać rady, oglądając się na resztę ludzi, którzy dla dobra wspólnego też się poświęcić powinni. Jeżeli w pomoc dźwigającym nikt nie przyjdzie muszą się zmęczyć, osłabnąć, a ciężaru nie ruszą. Cóż wtenczas? I jedni co pracowali i drudzy co się przypatrywali odejdą, nie dopiąwszy swego celu. Podobnie ma się rzecz z wiecem, który Wam z inicyatywy naszej zaproponowaliśmy. Cóż z tego, że do dziś dnia kilku a bodaj kilkunastu kolegów się zgłosiło kiedy w sprawie wspólnej wszyscy pracować i wspólnie popierać się winni.

Tudno żądać poświęcenia ze strony dwóch, pięciu lub dziesięciu Kolegów, bo poświęcenie takie na nic się nie przyda. Działać musimy

wszyscy. A więc nie może powiedzieć organista wyjątkowo majętny: „co mnie obchodzi los tych organistów, którzy nędzę cierpią, kiedy ja mam dostatek.“ Nie powinien uchylać się od współudziału żaden z organistów z większych miast, bo i oni nie pewni są jutra. Ci zaś organiści co cierpią niedostatek, nie mogą skinięciem ręki i powiedzeniem słów: „Mój ojciec też był organistą i umarł w nędzy — to i ja tak chcę zginąć“ uchylać się od spełnienia obowiązku, który [illegible]ktuje godność człowieka i poczucie koleżeń[illegible]wa.

Każdy z Was wie dobrze, że wiec tylko może dodatnio wpłynąć na poprawę naszych stosunków, jak nie mniej wie i o tem, że los nasz od nas samych przeważnie zależy. Na kogóż więc czekamy? Kto nas ma z nędzy wyrwać? Ciągłe biadanie i narzekanie?! Już dosyć tych utyskiwań, setek listów, korespondentek i ustnych skarg, z któremi codziennie się spotykamy. Jeżeli Bracia Kochani wszyscy razem nie staniecie jak jeden mąż z gorącą prośbą do Władz i Ojców naszych o poprawę losu, natenczas my uchylimy się od podobnych propozycyj jaką jest wiec organistów.

Mamy jednak niepłonną nadzieję, że losu swego nieprzyjaciółmi nie będziecie, a skoro sprawa wiecu niebawem dojrzeje, dostarczymy Władzom dostatecznych dowodów, że organiści **stanowczo** zasługują na poprawę swej doli!

Wolfgang - Amadeusz Mozart.

Obdarzony niezwykłym talentem Mozart, udarowany w Wiedniu skrzypcami, kształcił się i na tym instrumencie poczyniwszy na nich niezwykłe postępy.

W latach 1763—1764 postanowiła rodzina Mozarta odbyć dlań w celach muzycznych większą podróż przez Bawaryą, prowincye Reńskie, Niederlandy i Francyą. W Paryżu dał się słyszeć ośmioletni Mozart przed królem i całym dworem w Wersalu. Tutaj świat muzyczny zaczął poznawać nadzwyczajny Mozarta talent, który się przebijał już w pierwszych wydanych przez niego kompozycyach. Około r. 1764 udał się Mozart z familią do Londynu. Tak wysoko już wówczas postąpił w muzyce, że trudne kompozycye Handla i Bacha mógł grać bez przygotowania. Co więcej talent jego tak dalece wybujał, że do przedłożonego mu basu był w stanie improwizować czyli z głowy dorabiać odpowiednie melodye.

W r. 1766 wrócił Mozart wraz z familią do Salcburga, gdzie poświęcał się z całem zamiłowaniem sztuce komponowania melodyj. W tym czasie skomponował młody artysta z okazyi poświęcenia kościoła „Te Deum“ którem sam dyrygował. W roku 1769 został Mozart koncertmistrzem na dworze salcburgskim. Stąd Mozart wraz z swym ojcem przedsięwziął podróż do Włoszech. W przejeździe zbierał artysta tryumfy w Bolonii, Rzymie i Neapolu.

Jaki niesłychany talent i pamięć niezwykłą posiadał Mozart, dał nam najlepszy tego dowód w Rzymie, gdzie słysząc w Wielką Środę „Miserere“ utworu Allegri, napisał je po jednorazowem słyszeniu.

W Medyolanie skomponował Mozart operę p. t. „Mitridate“, którą to operę grano z rzędu 20 razy. W Wenecyi i Weronie zbierał też laury. Udekorowany największem odznaczeniem, bo papieskim orderem złotej ostrogi, następnie dyplomami akademii w Bolonii i Weronie, powrócił napowrót do Salcburga.

Odbywszy następnie podróż do Monachium i Manheim gdzie starał się o godność nauczyciela muzyki dla dzieci książęcych lub też o odpowiednią posadę w Paryżu; nie uzyskawszy zarówno jednej jak i drugiej posady powrócił wirtuoz znowu do Salcburga. Wkrótce jednak otrzymał godność organisty nadwornego. Pracując wytrwale na polu muzycznem, stworzył w tym czasie Mozart zupełnie nowy jemu tylko właściwy pierwiastek muzyczny, który bardziej był zbliżony do muzyki francuskiej Glucka aniżeli operowego pierwiastka włoskiego, który dotąd przebijał się w utworach Mozarta. C. d. n.

BEN HUR.

Opowieść z czasów Chrystusa przez Lew Wallase.

Tłumaczyła z angielskiego Zofia Grabowska.

(Ciąg dalszy.)

— A więc przysięgnij się na Boga lub na to, co jest najświętszego w twej wierz... Przysięgnij mi, że uczynisz to, o co cię proszę i w taki sposób, jaki ci wskażę. Czekam.

— Szlachetny Arrjuszu, z mowy twej miarkuję, że to będzie rzecz wielkiej [illegible]. Powiedz mi pierwej, czego żądasz.

— Przysięgniesz potem?

— Przysięgnę, jeśli.... Niechaj błogosławiony będzie Bóg ojców moich!... Patrz... nadpływa okręt jakiś!

— Z której strony?

— Z północy.

— Możesz rozpoznać do jakiej narodowości należy?

— Nie, służyłem zawsze przy wiosłach.

— Czy ma flagę?

— Nie widzę żadnej.

Arrjusz zamyślił się głęboko.

— Nie dostrzegasz innego znaku?

— Ma żagiel, 3 rzędy wioseł i szybko płynie,—więcej nic nie mogę powiedzieć.

— Zwycięzki Rzymianin wywiesiłby niejedną flagę. Musi to być nieprzyjaciel. Słuchajże, dopóki mogę mówić, —dodał Arrjusz uroczyście, —jeśli to galera piratów, możesz być pewien życia. Chociaż nie wrócą ci wolności, może przykują cię znowu do wiosła, ale cię nie zabiją. Mnie, przeciwnie...

— Trybunowi zadrżał głos.

— Na bogów! Za stary jestem, żeby się poddać hańbie. Chcę, żeby mówiono w Rzymie, że Kwintus Arrjusz zginął, jak przystoi trybunowi rzymskiemu w obronie swego okrętu. Jeśli to więc galera piratów, żądam, żebyś mnie zepchnął z tej tarcicy w morze. Czy słyszysz? Przysięgniesz na to, o co cię proszę?

— Nie przysięgnę,—odpowiedział Ben-Hur stanowczo,—i nie spełnię twego żądania. Zakon mój uczyniłby mię odpowiedzialnym za twe życie. Weź twój sygnet,—tu zdjął go ze swego palca,—weź sygnet i obietnice łask, w razie gdybyś uniknął tego niebezpieczeństwa. Chociaż mię skazano na dożywotnie galery, nie jestem niewolnikiem, nie jestem też twoim wyzwoleńcem. Jam synem Izraela i w tej chwili przynajmniej panem swego losu. Zabierz swój pierścień.

Arrjusz nie odpowiedział.

— Nie chcesz? mówił dalej Juda, —a więc nie dlatego, żebym się gniewał na ciebie lub pogardzał twym darem, lecz by nie brać na siebie wstrętnego zobowiązania, wrzucam sygnet twój do morza... patrz, o trybunie!

Cisnął pierścień. Arrjusz usłyszał plusk, ale się nie obejrzał.

— Popełniłeś szaleństwo; tak, to jest szaleństwem w twojem położeniu, —rzekł. Śmierć moja nie zależy od ciebie. Ja sam, bez twej pomocy, mogę przeciąć nić swego żywota, a gdy to uczynię, co się stanie z tobą? Ludzie zdecydowani na śmierć wolą żeby ją zadała obca ręka, bo dusza istniejąca w nas, podług nauk Platona, wzdryga się na myśl samobójstwa. Teraz już wiesz wszystko. Jeśli to będzie okręt piratów,—pożegnam świat. Moje postanowienie jest niezłomne. Jestem Rzymianinem. Powodzenie i honor stawiam ponad wszystkiem. Chciałem ci zapewnić szczęście, aleś je odrzucił. Sygnet był jedynym znakiem który mógł świadczyć o mej woli w tym razie. Teraz oba jesteśmy zgubneni. Ja umrę, żałując chwały i zwycięztw; ty żyć będziesz, aby trochę później umrzeć wyrzucając sobie gorzko, żeś nie wysłuchał mej prośby, przez upór niedorzeczny. Żal mi ciebie.

Ben-Hur jeszcze jaśniej widział niż przedtem następstwa swego czynu. Jednakże nie zachwiał się.

— Odkąd jestem niewolnikiem, ty pierwszy zapytałeś mię, kto jestem, — o trybunie! Ty pierwszy przemówiłeś do mnie życzliwie. Ach, nie.... ktoś inny jeszcze... Głos mu zadrżał, oczy zaszły łzami, zdawało się, że widzi przed sobą twarz młodzieńca, który dał mu się napić przy starej studni w Nazarecie. W każdym razie, — mówił dalej, — ty pierwszy zapytałeś mię, kto jestem, i jeśli, ratując cię przed chwilą, ja także myślałem o tem, że mógłbyś mi być pomocnym, czyn mój nie był całkiem samolubny,—wierzaj mi proszę cię o to. Prócz tego, objawił mi Bóg w tej chwili, że tylko godziwemi środkami mogę osiągnąć swój cel. Wolałbym umrzeć, aniżeli się do twojej smierci przyczynić. Moje postanowienie jest tak niezachwiane, jak twoje. Gdybyś mi nawet obiecywał Rzym cały podarować i mógł spełnić tę obietnicę, o trybunie,—nie odebrałbym ci życia. Twój Katon i Brutus byli dziećmi w porównaniu z owym Hebrajczykiem, którego prawom każdy żyd winien być posłusznym.

— Ja cię proszę..

— Gdybyś nawet rozkazał, nie usłuchałbym cię!

To ostatnie moje słowo.

Milczeli obaj i czekali.

Ben-Hur spoglądał często na nadpływający statek. Arrjusz leżał z zamkniętemi oczami, obojętny.

— Czyś pewien, że to okręt nieprzyjacielski? zapytał Ben-Hur.

— Tak mi się zdaje.

— Zatrzymuje się właśnie i spuszcza łódź.

— Czy widzisz flagę?

— Nie. Może jest inny znak, po którym można poznać okręt rzymski?

—Na szczycie masztu galery rzymskiej bywa wywieszony hełm.

— A więc nabierz otuchy bo widzę hełm.

Arrjusz nie dowierzał jeszcze.

— Osada łodzi ratuje rozbitków. Rabusie morscy nie są litościwi.

— Mogą potrzebować wioślarzy,—odpowiedział Arrjusz, przypominając sobie zapewne czasy, kiedy ratował tonących, z tej przyczyny.

Ben-Hur przyglądał się z natężoną uwagą ruchom załogi okrętowej.

— Statek odpływa.

— W jakim kierunku?

— Poza nami, na prawo, jest galera, jak wnoszę opuszczona. Okręt zmierza do niej. Już przybił. Załoga chroni się na pokład.

Arrjusz otworzył oczy i otrząsnął się z dotychczasowej obojętności.

— Podziękuj twemu jedynemu Bogu,—rzekł do Ben-Hura, — tak jest, ja złożę dzięki moim wielu bogom. Rozbójnik morski zatopiłby tę galerę, zamiast ją ratować. Po tym czynie i po hełmie, wywieszonym na maszcie, poznaję, że to statek rzymski. Zwycięztwo!. Szczęście nie opuściło mię! Ocaleliśmy. Skiń na nich ręką, zawołaj, sprowadź ich tu prędko. Ja będę Duumwirem—a ty—znałem i kochałem twego ojca. Był on rzeczywiście księciem. Od niego dowiedziałem się, że żyd nie jest barbarzyńcą. Zabiorę cię z sobą. Przyznam cię za syna. Podziękuj swemu Bogu i zażądaj pomocy od ludzi z okrętu. Spiesz się! Trzeba dalej ścigać piratów... ani jeden nie powinien nam ujść.

Juda stanął na tarcicy, machał ręką i wołał, o ile mógł najgłośniej. Nakoniec zwrócił na siebie uwagę. Przypłynęła mała łodź i obaj wsiedli na nią spiesznie.

Arrjusza przyjęto na galerze-z honorami, należnemi ulubieńcowi Fortuny. Leżąc na pokładzie, usłyszał on szczegóły zakończenia walki. Gdy wszystkich rozbitków ratowano i rozmieszczano zdobyte łupy, rozwinął on znowu swą flagę przywódcy; poczem żeglował ku północy, ażeby się połączyć z resztą floty i uzupełnić zwycięztwo swoje. We właściwym czasie, galery kursujące po kanale napadły uciekających piratów i wytępiły ich doszczętnie. Ani jeden nie ocalał. Prócz tego, zabrano jeszcze 20 nieprzyjacielskich galer, co wzmogło sławę trybuna.

Po powrocie z wyprawy, Arrjusz był gorąco witany na pobrzeżu m. Mizenum. Młodzieniec, towarzyszący mu, zwrócił na siebie bardzo szybko uwagę będących tam przyjaciół trybuna. Na pytania kto on jest, trybun bardzo życzliwie odpowiadał i w korzystnem świetle przedstawił go, pomijając dawniejsze jego dzieje. Skończywszy o powiadanie, przywołał do siebie Ben-Hura — położył przyjaźnie rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Przyjaciele, oto syn mój i spadkobierca, którego, — ponieważ ma wziąć po mnie fortunę, jeśli bogowie pozwolą, żebym jaką zostawił, — znać będziecie pod mojem nazwiskiem. Pragnę, żebyście go tak kochali jak mnie kochacie.

Przy pierwszej nadarzonej sposobności, adoptacja dokonaną została według wszelkich formalności prawnych. Tak to zacny Rzymianin dotrzymał obietnicy, danej Ben-Hurowi, wprowadzając go w świat rzymski. W miesiąc po powrocie Arrjusza, armilustrium jego przedstawiano z wielkim przepychem w teatrze Scaurusa. Jedną stronę budowli zajmowały trofea wojenne, z pomiędzy których największy podziw budziło 20 czubow okrętowych z aplustrami, wyrąbanemi z tyłuż galer. Przed niemi widniał napis tak wielkiemi literami, że mogło go czytać 80.000 widzów, siedzących na ławach:

Zdobyte na korsarzach greckich
w zatoce Euripus
przez
Quintusa Arrjusza Duumwira.

Rozdział XIII.

Działo się to w dzisiejszym miesiącu lipcu, roku pańskiego 29, na placu Antjochji w mieście najpotężniejszem po Rzymie, jeśli nie najpopularniejszem.

Panuje powszechne mniemanie, że marnotrawstwo, i ozprzężenie obyczajów owoczesnych wzięły początek w Rzymie i ztamtąd rozeszły się po całem cesarstwie; że wielkie miasta odzwierciedlały tylko obyczaje grodu z nad Tybru. Można powątpiewać o tem. Zepsucie zwyciężonych udzielało się zwycięzcom, posuwało się ono ze wschodu ku zachodowi: Antjochja zaś, to najstarsze siedlisko potęgi i świetności asyryjskiej, była głównem źródłem zgnilizny.

Transportowy okręt wpływał w ujście rzeki Orontes z błękitnych wód morza. Nadchodziło południe. Upał był nie do zniesienia; mimo to wszyscy usiłowali dostać się na pokład. Ben-Hur znajdował się pośród nich.

Upłynęło 5 lat: młody izraelita stał się dojrzałym mężczyzną. Chociaż biała szeroka szata skrywała nieco jego kształty, widać było, że się wspaniale rozwinęły. Przeszło godzinę siedział on w cieniu żagli; przez ten czas wielu towarzyszy podróży i współziomków jego próbowało zawiązać z nim rozmowę, ale nadaremnie. Dawał im odpowiedzi krótkie, choć niezmiernie grzeczne, w języku łacińskim. Jego czysta mowa, wytworny układ, powściągliwość w obejściu — zaciekawiały wszystkich. Kto mu się bliżej przyjrzał, tego zadziwiały niektóre sprzeczności, w osobie tego patrycjusza; ręce bowiem miał szczególnie długie, duże, silne i widocznie spracowane. Wzajemnie zapytywano siebie, kto on jest i jakie są dzieje jego życia. Innemi słowy, najtrafniej go odmaluje to określenie, że wyglądał na człowieka, który wiele już przeżył.

Galera, na której się znajdował, zatrzymawszy się w jednym z portów Cyprusu, przyjęła na swój pokład Hebrajczyka budzącego szacunek, spokojnego, ojcowskiego. Ben-Hur odważył się zadać mu kilka pytań. Odpowiedzi obudziły w nim zaufanie i przyszło do długiej rozmowy pomiędzy nimi.

Zdarzyło się, iż gdy galera z Cyprysu wpłynęła do zatoki Orontes, dwa inne statki wjechały na rzekę jednocześnie z nią. W tejże chwili oba obce okręty wywiesiły jaskrawo-żółte chorągiewki. Wszyscy starali się odgadnąć znaczenie tych sygnałów. Nakoniec jeden z pasażerów zwrócił się do poważnego izraelity po objaśnienie.

— Są to sygnały, — odrzekł tenże, — lecz oznaczają właściciela, nie narodowość okrętu.

— Czy on posiada dużo okrętów?

— Całą flotę.

— Znasz go?

— Jestem z nim w stosunkach handlowych.

Podróżni wpatrywali się w mówiącego, z widocznem zaciekawieniem; nawet Ben-Hur słuchał uważnie.

— Mieszka on w Antjochji, — mówił dalej Hebrajczyk z właściwym mu spokojem. — Ogromne bogactwa zwracają nań uwagę i przez zazdrość ludzie nieprzychylnie mowią o nim. Przed laty żył w Jerozolimie pewien książę bardzo starożytnego rodu, imieniem Hur.

Juda silił się na spokojny pozór, ale serce zaczęło mu bić gwałtownie.

Książę ten, genjalny kupiec, miał przedsiębiorstwa na wschodzie i zachodzie. W wielkich miastach pozakładał on agencje. Filję Antjochijską powierzył kierunkowi pewnego Simonidesa, który pomimo imienia greckiego był izraelitą. Podobno był to niewolnik Hura. Książę zginął na morzu, ale interesa jego szły dalej niemal równie pomyślnie. Po niejakim czasie nieszczęście przytrafiło się rodzinie księcia. Jego jedyny syn, młodzieniaszek jeszcze targnął się na jednej z ulic Jerozolimy na życie prokuratora Gratusa. Zamach nie powiódł się i nie wiadomo, co się stało z winowajcą. Zemsta Rzymianina dotknęła cały dom Hurów. Nie uszedł jej ani jeden człowiek tej rodziny. W ich opieczętowanym pałacu gnieżdżą się teraz gołębie. Majątek skonfiskowany został; prokurator przyłożył do swych ran maść ze złota.

Pasażerowie roześmiali się.

— To znaczy, że zatrzymał dla siebie majątek, — odezwał się ktoś.

— Tak powiadają, — odpowiedział żyd. Powtórzyłem tylko to, com słyszał. Otóż Simonides, który był w Antjochji agentem księcia, zaczął niezadługo prowadzić handel na własną

rękę i w zadziwiająco krótkim przeciągu czasu wyszedł na najbogatszego kupca w całym grodzie. Idąc za przykładem swego pana, wysyłał on karawany do Indyj i posiada obecnie na morzu tyle galer, że mogłyby one stanowić flotę królewską. Powiadają, że mu się wszystko wiedzie: wielbłądy jego giną ze starości; okręty nie toną nigdy; gdyby rzucił do rzeki trzaskę, to wypłynęłaby jako bryła złota.

— Dawno mu się tak szczęści?

— Od lat 10-ciu blizko.

— Musiał mieć niemałe kapitały na początek.

— Tak; powiadają ze prokurator zabrał tylko to, co było pod ręką: konie, bydło, domy, włości, okręty, towary. Pieniędzy nie mógł znaleźć, chociaż musiały być bardzo znaczne. Co się z niemi stało, jest dotąd tajemnicą.

— Nie dla mnie, — odezwał się jeden z pasażerów.

— Rozumiem cię, — odpowiedział żyd. — Inni także padali na ten pomysł. Powszechnie podejrzywają starego Simonidesa, że rozpoczął handel przy pomocy owych pieniędzy.

Prokurator jest także lub też był tego przekonania, bo w przeciągu 5-ciu lat, dwa razy kazał schwytać kupca i wziąć go na tortury.

Juda z żelazną siłą szarpnął linę, którą trzymał w ręku.

— Powiadają — ciągnął dalej starzec, — że ten człowiek nie ma ani jednej całej kości. Kiedym go widział ostatni raz, siedział na fotelu, jak bezkształtna masa, obłożony poduszkami.

— Tak go storturowano! — zawołało kilku litościwszych.

— Choroba nie przyprawiłaby go o takie kalectwo. Ale nie uległ cierpieniom. Nie zdołano wymódz na nim żadnego zeznania: to tylko powiedział, że wszystko co ma, jest jego prawowitą własnością i że z niej robi godziwy użytek. Przestano go już jednak prześladować i od samego Tyberjusza ma pozwolenie na handel.

— Pewien jestem, że dobrze za to zapłacił.

Te okręty do niego należą, — mówił dalej żyd, nie odpowiadając na powyższą uwagę. — Jestto zwyczajem żeglarzy witać się nawzajem żółtymi chorągiewkami, które wywieszają na znak szczęśliwie odbywanej podróży.

Historya starca na tem się skończyła.

Juda, zostawszy po niejakiej chwili sam na sam z żydem zapytał:

— Jak się nazywał ów książę Jerozolimski o którym opowiadałeś?

— Ben-Hur.

— Co się stało z jego rodziną?

— Syn skazany został na galery. Musiał już umrzeć. Zazwyczaj galernicy wytrzymują tylko rok jeden. O wdowie i córce nie było żadnych wieści. Kto wie, co się z niemi dzieje, nie chce nic powiedzieć. Musiały zmarnieć w podziemiach jednego z tych zamków, co są rozsiane po Judei.

Juda zaszedł do kajuty.

Tak był pogrążony w myślach, że prawie nie spojrzał na wybrzeże rzeki, które od morza do miasta było niezrównanie piękne, pokrywały je bowiem ogrody, wabiące Tyryjskiemi owocami i winem, przy willach, równających się czarami z Neapolitańskimi. Nie zwrócił też uwagi na przepływającą flotę całą okrętów, nie słyszał śpiewu i wrzawy majtków, z których jedni pracowali, drudzy weselili się.

Horyzont, oblany słońcem, ciążył nad lądem i morzem. Nigdzie nie było cieniu, tylko na jego życiu.

Raz jeden ocknął się Juda z zadumy, gdy wskazał ktoś na widniejący zdala, na wybrzeżu gaj Dafny.

Za ukazaniem się miasta, pasażerowie wylegli na pokład, żeby się nacieszyć wspaniałym widokiem, a znany nam sędziwy żyd objaśniał ich znowu

— Ta rzeka płynie ku zachodowi, — rzekł wskazując na południe, — tam oto jest góra Cosius, inaczej Orontes nazywana. Naprzeciw niej wznosi się góra Amnus, a pośrodku leży równina Antjochja. Dalej ciągną się Czarne Góry, zkąd wodociągi królewskie prowadzą do miasta najczystszą wodę, ażeby orzeźwiać spragnionych i skrapiać ulice. Lasy tamtejsze i puszcze są gęsto jeszcze zadrzewione, pełne ptaków i zwierzyny.

Gdzie jest jezioro? zapytał ktoś.

— Z tamtej strony, na północ. Można się do niego dostać konno, albo co jest najdogodniej łodzią, bo jedna jego odnoga łączy się z rzeką.

— Cóż to za las? — zapytano znowu.

To gaj Dafny, którego czarów nie można oddać słowami. Sam Apolin go założył i przekłada go nad Olimp. Kto na gaj ten spojrzy choćby jeden raz, pozostaje w nim na zawsze. Jest nawet przysłowie: „Lepiej być robakiem i ogryzać liście morwy w ogrodzie Dafny, niż siedzieć u stołu królewskiego".

— Więc zapewne radzisz unikać tego niebezpiecznego miejsca?

— Przeciwnie, idźcie, idźcie... Wszyscy tam dążą: filozofowie, cynicy, młodzieniaszki, kobiety, kapłani. Jestem tak dalece przekonany o tem, iż wszyscy pójdziecie, że pozwolę sobie dać wam radę: nie zatrzymujcie się w mieście, byłoby to stratą czasu, — podążcie odrazu do wsi, leżącej opodal groty. Droga do niej przez ogród pomiędzy wodotryskami. Patrzcie — tam oto są mury miasta, arcydzieła Xerxesa, mistrza w sztuce budownictwa.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, którą wskazywał.

— Ta część murów stanęła na rozkaz pierwszego z Seleucydów. Zrosły się one ze skałami, które od lat 300 je dźwigają. Na szczytach murów jest 400 wież, a każda służy na zbiornik wody. Patrzcie, mury są wysokie, a jednak widać z poza nich, w oddaleniu, dwie góry, o których musieliście słyszeć, że współzawodniczą z czubami Sulpiusa. Za niemi widnieje cytadela, w której legjon rzymski cały rok stoi załogą. Naprzeciwko wznosi się świątynia Jowisza, a u jej stóp jest rezydencja posłów, twierdza tak silna, że napór tłumów byłby dla niej powiewem wiatru południowego.

Majtkowie zaczęli zwijać żagle. Żyd objaśniał dalej.

— Przez ten most prowadzi droga do Seleucji. Tu są granice żeglugi. To, czego nie można wieźć dalej okrętem, ładuje się na wielbłądy. Za mostem zaczyna się wyspa, na której Kalinikus buduje swe nowe miasto, łącząc je 5-ma wielkiemi wiaduktami, tak mocnemi, że nic nie zdoła ich zburzyć: ani czas, ani powodzie, ani trzęsienie ziemi. O samem mieście to wam tylko powiem, że kto go zobaczy, ten do końca życia może się uważać za szczęśliwego.

Właśnie gdy kończył mówić, okręt skręcił powoli i podpłynął ku legarom,

będącym pod murem. Nakoniec dorzucono liny, przymocowano kotwicę. Podróż była skończona. Ben Hur odezwał się raz jeszcze do sędziwego izraelity:

— Czy dozwolisz, żebym cię o coś zapytał, nim się rozstaniemy?

Starzec skinął głową na znak przyzwolenia.

— Twoja historja o kupcu zaciekawiła mię, chciałbym go zobaczyć. Wszakże nazwałeś go Simonidesem?

— Tak. Jestto żyd z nazwiskiem greckiem.

— Gdziebym go mógł znaleźć?

Starzec spojrzał przenikliwie.

— Chciałbym ci oszczędzić upokorzenia... on nie pożycza pieniędzy.

— A ja nie zaciągam pożyczek, —odrzekł Ben-Hur, uśmiechając się z jego domyślności.

Izraelita podniosł głowę i zamyślił się chwilę.

— Należałoby się spodziewać, że najbogatszy człowiek w Antjochji zajmuje dom odpowiedni do swego majątku, tymczasem, jeśli chcesz go odwiedzić, musisz iść wzdłuż rzeki, pod ten oto most. Mieszka tam w chałupce, która wygląda niby pal, podpierający mur.

— Dziękuję ci za objaśnienia.

— Oby pokój twych ojców był z tobą!

— I z tobą także.

Po tych słowach rozstali się.

Dwóch tragarzy wzięło na plecy pakunki Ben-Hura.

— Do cytadeli,—rzekł. Polecenie to wskazywało, że zajmuje publiczne, wojskowe stanowisko.

Dwie szerokie ulice, krzyżujące się pod kątem prostym, dzieliły miasto na kwadraty. Przy tej, co się ciągnęła z północy ku południowi, stał dziwacznego kształtu budynek, zwany Nymphaeum. Gdy tragarze zwrócili się ku południowi, podróżny, jakkolwiek tylko co przybył z Rzymu, zdumiał wobec wspaniałego widoku.

C. d. n.

Korespondencye z prowincyj.

Bieździecza w lipcu 1894.

Panowie Koledzy!

Wyczytawszy w Nrze 8 „Dwutygodnika organistowskiego myśl zwołania wiecu organistów, nie bardzo wierzyłem w jej spełnienie bo naraz przedstawiło mi się mnóstwo przeszkód stojących na zawadzie, w doprowadzeniu wiecu do skutku. I ja więc jakiś czas zapatrywałem się na tę sprawę tak pesymistycznie jak Kolega Presto (Nr. 11). Po dłuższem jednak rozważaniu wszelkich warunków: pro i contra, przyszedłem do zdania, iż:

1) Wiec czy też zjazd (skromniejsza nazwa) jest niezbędnie potrzebny.

2) Iż zjazd udać się musi, jak tego dowodem są zjazdy we Frysztaku i Kolbuszowej.

Pozwolę sobie teraz przytoczyć powody, które mnie skłoniły do tego przekonania.

Ażeby sprawę polepszenia naszego stanowiska tak moralnego jak i materyalnego pchnąć na lepsze tory, potrzeba kogoś ktoby się nią zajął i nią kierował; potrzebny jest tedy Komitet złożony z osób znających nasze stanowisko, współczujący niejako z nami, który upełnomocniony naszym wyborem, z większą odwagą i pewnością dążyłby do zrealizowania naszych życzeń. Koszta któreby działanie komitetu za sobą pociągło, wszyscybyśmy chętnie pokryli, bo każdy z nas wie, iż bez wydatków w tej sprawie się nieobejdzie. Ponieważ zaś w obec ciągłego zajęcia, a i z braku środków materyalnych, trudnoby było urządzać częste zjazdy, przeto Komitet informowałby nas o swym przebiegu w „Dwutygodniku".

Jak wyżej udowodniłem, iż zjazd jest niezbędnie potrzebny, sądzę więc, że bodaj trzech Kolegów z każdego powiatu o jednej narodowości, a chociaż po jednym z innych po[illegible]atów o mieszanej ludności, powinno[illegible]nie wziąć za obowiązek przybyć w oznaczonym czasie i miejscu na zjazd, by główne myśli obrobić, Komitet wybrać, i tem samem upełnomocnić go do prowadzenia sprawy w imieniu całego stanu organistów. I mam nadzieję, że zbierze się w oznaczonym czasie dostateczna ilość Kolegów, bo musimy bowiem i liczbą okazać, że nie tylko jednostkom chodzi o poprawienie bytu, ale że wszyscy pragniemy podniesienia naszego stanu tak pod względem moralnym, jak i materyalnym.

Ponieważ Szanowna Redakcya gorąco zajmuje się naszą dolą i dąży do jej poprawy, jak tego każdy numer jest dowodem — pierwsza poruszyła myśl zwołania wiecu, niechże więc raczy przyjąć na siebie obowiązek oznaczenia miejsca i czasu kiedy ma nastąpić, ułożenia programu, oraz przygotowania odpowiednich wniosków pod obrady.*) Uwiadamiając nas zaś o tem wszystkiem w „Dwutygodniku", da nam sposobność do zastanowienia się nad postawionymi wnioskami, wskutek czego posiedzenie zjazdu będzie raźniejsze i skuteczniejsze. Sądzę tedy, że wszyscy Koledzy zgodzą się na myśli me powyżej podane i przyjdą do przekonania, iż raz już trzeba skończyć biadać i czekać z założonemi rękami aż się samo zrobi, a natomiast trzeba wziąć się do pracy nad polepszeniem naszej doli i podniesieniem naszego stanu pod względem moralnym.

Hasłem naszym odtąd niech będzie: „Pracujmy, a Bóg nam pomoże".

Teofil Kosiba.

Pieśń poranna.

Kiedy ranna zorza świta,
Ptactwo Boga śpiewem wita;

*) Dopóki odpowiedni fundusz nie wpłynie nie możemy, minio gorących życzeń poczynić odpowiednich przygotowań. (Przyp. Red.)

I ja Cię też witam Panie,
Modłem moim na organie.

Z głębi serca pieśni moja,
Płynie: Stań się wola Twoja.
Racz wysłuchać me wołanie,
O to Ciebie proszę Panie!

Organistów krwawą dolę
Racz poprawić Boże Panie,
Okaż im Swe zmiłowanie,
Okaż Twą najświętszą wolę.

Wszak my także Twoje dzieci,
Co pracujem dla Twej chwały,
Choć świat o nas mało dbały,
Litość Twoja z nieba zleci.

Nie o srebro nie o złoto,
Proszę Ciebie dziś w pokorze,
Lecz Cię błagam tylko o to,
Byś nam dodał męstwa Boże!

Bo obrony nam Twej trzeba,
Jako codziennego chleba,
Organistów módł w pokorze
Racz wysłuchać wielki Boże!

Lityński

Przegląd polityczny.

We Francyi dnia 24. czerwca został zamordowany prezydent rzeczypospolitej Carnot. Dnia tego pojechał Carnot na zwiedzenie wystawy w Lugdunie, gdy wieczorem po bankiecie urządzonym w Izbie handlowej, jechał do teatru, ludność witała go owacyjnie, a prezydent podawał rękę znajomym i nieznajomym. Jeden Włoch imieniem Hieronimo Santo Caserio podał mu rękę a równocześnie pchnął sztyletem dwa razy. Carnot osunął się krwią zbroczony, a prefekt Rivand uderzeniem pięści zepchnął mordercę ze stopni powozu. Carnota odwieziono do prefektury, gdzie mimo troskliwej pomocy lekarskiej po północy zakończył życie opatrzony św. Sakramentami.

Rozjątrzone tłumy chciały mordercę rozszarpać na miejscu, lecz policya przeszkodziła temu. Morderca był anarchistą i zdaje się, że chciał pomścić straconych anarchistów. Ponieważ według prawa w przeciągu 48 godzin musi być zwołane zebranie dla wyboru nowego prezydenta, odbyto kilka kongresów przedwyborczych a na jednym z nich przyszło nawet do bójki. Ostatecznie na kongresie w Wersalu wybrano Casimira Perier na prezydenta republiki absolutną większością głosów. Pogrzeb Carnota odbył się bardzo uroczyście, w asystencyi już nowego prezydenta i przedstawicieli różnych państw, które wyraziły Francyi ubolewanie z powodu smutnego wypadku.

Francuzi rozjątrzeni na Włochów poniszczyli szczególniej w Lugdunie wiele włoskich kawiarń i sklepów.

W Węgrzech po przywróceniu dawnego ministerstwa, obstającego za wprowadzeniem ślubów cywilnych stało się to, co można było z góry przewidzieć. Izba posłów uchwaliła ustawę o ślubach cywilnych jak i przedtem, ale co ważniejsze, że oto izba magnatów, która raz przedtem odrzuciła tę ustawę, teraz dnia 21 czerwca zgodziła się na śluby cywilne. Głosowało nad tą ustawą 252 magnatów. Z tych 128 magnatów głosowało za ślubami cywilnemi, 124 magnatów przeciwko tym ślubom, a więc ustawa przeszła większością 4 głosów. Ustawa ta potrzebuje jeszcze potwierdzenia cesarskiego. Kilku magnatów z niewiadomych przyczyn nie głosowało wcale a są to właśnie przeciwnicy tej ustawy.

Od wydawnictwa.

Dobrowolne datki na rzecz odbyć się mającego wiecu nadesłali następujący Koledzy: pp. Franciszek Guzowski z Nowosielec 1 zł., Niechcący być wymienionym 1 złr., Władysław N. 1 złr., Borowiecki z Grybowa 1 złr. Alojzy Niemczura z Odrowężu 1 zł., Franciszek Przemykalski z Kurzyny 60 ct., Michał Cesarz z Kaszyc 50 ct., Józef Kulpiński z Łętowni 50 ct., Henryk Flascha z Łazan 25 ct., Fr. Maszczak z Dylągowy 60 ct. Datki poprzednie z dzisiejszymi wynoszą kwotę 10 złr. 45 ct. w. a.

Prenumerata od początku istnienia naszego pisemka aż po dzień dzisiejszy wynosi 2 złr.

Celem zamknięcia rachunków upraszamy tych P. T. Szanownych Kolegów którzy bądź wcale nie uiścili przedpłaty bądź część jej przesłali, aby raczyli bezzwłocznie wyrównać prenumeratę — bo pragniemy aby gazeta naszym wyłącznie poświęcona sprawom mogła się przecież utrzymać i nie potrzebowała walczyć z przeszkodami materyalnemi.

Z numerem dzisiejszym rozpoczyna się przedpłata na III kwartał b. r.

Kronika.

Zmarł jak się dowiadujemy z opaski wróconej nam z przeszłym numerem gazety, Kolega Aleksander Wołkowski w Staremsiole. Za spokój duszy nieboszczyka upraszamy o westchnienie do Boga.

Jaskółki pocztowe zastąpią niebawem, jak słychać, gołębie, nad któremi mają przewagę pod względem chyżości lotu. Na odbytych próbach w Ameryce stwierdzono, że jaskółka w ciągu godziny przebywa 100 mil angielskich, czego gołąb pocztowy najlepszy nie dokaże na dłuższej zwłaszcza odległości.

Katastrofa w kościele. W Nowomińsku (pod Moskalem) dnia 26 maja, podczas burzy, piorun uderzył w kościół i przeleciał przez dach wewnątrz świątyni. W jednej chwili powstał w kościele straszny postrach. Piorun zabił tylko jedną włościankę, lecz lud z przestrachu, zgromadzony w świątyni, zaczął się tłoczyć przerażony, gnieść i dusić tak, że przeszło 20 osób poniosło ciężkie szwanki.—Gdyby nie przytomność księdza, odprawiającego nabożeństwo, który uspokajał obecnych, ofiar byłoby znacznie więcej.

*

Guldeny papierowe stanowczo już będą usunięte z obiegu. W głównych kasach państwowych odbywa się już wypłata srebrnymi guldenami i koronami. Pensye urzędników również mają być wypłacane już od 1-go lipca srebrem. Gdy banki i kantory pójdą za tym przykładem, to gulden papierowy zniknie, i pozostanie jedynie wspomnieniem.

Nowy Dzwonek dwutygodnik wychodzący w Krakowie już drugi rok pod redakcyą X. Marcelego Dziurzyńskiego, a poświęcony sprawom i rozrywce ludu polskiego, odznacza się zawsze doborem treści, opartej na tle religijnem. Pismo to ze względu na język popularny, illustracye, które dwutygodnik ten wielce upiększają i wogóle wydawnictwo jednem słowem bardzo staranne, zasługuje na poparcie. Zwracając uwagę P. T. Kolegów na anons umieszczony na stronicy ostatniej, prosimy przy każdej sposobności polecać je naszemu ludowi.

*

W Żelazowskiej Woli miejscu urodzenia Chopina postawią znakomitemu muzykowi pomnik.

*

Przykre położenie. Jeden z kolegów tak nam donosi: „Ośmielam się donieść o smutnem położeniu mojem. Byłem i jestem w takiej parafii, gdzie na dwa miesiące zawsze doznaję nędzy głodowej (przednowek). Stąd zadłużony jestem około 40 złr., a obecnie tem gorzej bo nie mam znajomości na nowej posadzie. Mam żonę i kilkoro dzieci drobnych, czem się wyżywić i okryć? Przełożony nie widzi mojej nędzy, a tu dochodu żadnego nie ma. Prawdziwie rozpacz bierze, bo człowiek szczeze pracuje a wskutek niedostatku gotów by był do kogo rękę po jałmużnę wyciągnąć. Chociaż jestem chciwy czytania i wiedzy nie mam centa przy sobie aby zapłacić prenumeratę i dać datek na cele organistowskie. Pragnę sprzedać jaki sprzęt domowy, lub fortepian -nie ma komu.

Upraszam o cierpliwość może się kiedy później wypłacę".

Jest to jeden z setek codziennie do naszej Redakcyi napływających listów, w których trudno dopatrzeć się choćby iskierki znośnego bytu.

Zewsząd lament, z każdej strony utyskiwanie. Aż serce się kraje! Przykro tylko, że ludzie, którzy mają obowiązki i muszą posiadać odpowiednią kwalifikacyę, narażeni są na tak ciężkie przeciwności życia. (Przyp. Red.)

*

Smutny wypadek. Kolega p. Jan Kaim, organista w Peczeniżynie donosi nam o przykrym wypadku, jaki się zdarzył ś. p. Aleksandrowi Panasiewiczowi prenumeratorowi „Dwutygodnika" z Rawy ruskiej, który miał w Peczeniżynie objąć posadę z dniem 1 lipca br. Tak nam pisze Kolega:

Dnia 3. lipca utonął w Prucie, przebywający w Peczeniżynie celem próby organista ś. p. Aleksander Panasiewicz. Powodem tak nagłego zgonu Kolegi była nieszczęsna kładka u budki kąpielowej. Nieboszczyk cierpiał od dłuższego czasu na krwotok z nosa, otóż podczas kąpieli puściła mu się krew z nosa, jak naoczni jego współkąpiący się towarzysze opowiadali, dla zatamowania której stanął na swą zgubę na owej desce nagnitej. Gdy ta pękła nieszczęśliwy wpadł do wody i pokazawszy się jeszcze kilka razy znikł w rozhukanym Prucie.

Za spokój duszy ś. p. Kolegi uprasza się o westchnienie do Boga.

Odpowiedzi Redakcyi.

Szan. Koledze S. F. w J. Przyborów introligatorskich nabyć można w fabryce wiedeńskiej pod firmą: Joh. Weiss & Sohn, Werkzeugefabrik Wien, Margarethenstr.

Szan. Kol. M. B. w H. Tytułem prenumeraty otrzymaliśmy 1 złr. 30 ct. w. a.

Szan Koledze J M w G Nie dziwi nas, że numer z dnia 8 czerwca b. r. niedoszedł do rąk Szan. Kolegi, albowiem wskutek pospiechu zamiast „Grębów" napisano „Grybów".

Nadesłane.

Za tę rubrykę redakcya nie odpowiada.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Ludwik Styrna. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bielsku. W drukarni Ludwika Styrny w Jarosławiu.